

Piotr Kotlarz

LATA SIEDEMDZIESIĄTE

(21 opowieści)



Piotr Kotlarz

Lata siedemdziesiąte

(21 opowieści)

Gdańsk 2021

© Piotr Kotlarz

Wydawca wersji elektronicznej: Fundacja Kultury Wobec

Gdańsk 2021

Wydanie I

Autorem ilustracji wykorzystanej na okładce jest Mieczysław Czychowski.

ISBN 978-83-63392-52-9

Spis treści

Zamiast wstępu

Mój "Grudzień"

Filip

Pracownia Buniego

Podwójna pomyłka [Ludwik]

Z dala od polityki

Droga skrzypcowa

ŻAK

[Tęcza nad Gdańskiem \(nad Polską\)](#)

Wiktor

Spotkanie literackie

Zbyszek

Siły destrukcji

Paweł

Partner do gry w szachy

Pępowiny

Bogdan B.

[Szalona podróż na wesele](#)

Sojusz świata pracy z kulturą

Kłęska

Wujek Joachim

Wizyta

Tęcza nad Gdańskiem (nad Polską)

W czasach, o których tu piszę, nie było jeszcze Internetu. Napisałem to zdanie i mając na uwadze tytuł tego opowiadania, od razu uświadomiłem sobie, że wówczas symbol tęczy odczytywany był u nas w Polsce inaczej niż dziś. Zaraz jednak zadałem sobie kolejne pytanie: u nas w Polsce, ale czy również w Świecie? Z jaką ideą przyjechała do nas wówczas Judy Betsy z grupy The Blacky z Liverpoolu? My, przynajmniej większość z nas, prawie wszyscy w ówczesnej Polsce odczytywaliśmy wówczas symbol tęczy wyłącznie, jako symbol nadziei, szczęścia. Zwłaszcza nadziei, bo wówczas, latem 1980 roku, była ona dla nas niezwykle ważna. Nadzieja i strach, obawa. Do ŻAK-a, klubu studenckiego przyjechała artystka z „wolnego świata”, a tuż obok strajkowali stoczniowcy. Do ich strajku przyłączali się robotnicy z innych zakładów pracy. Zwłaszcza strach, obawa. Pamięć „Wydarzeń Grudniowych” była jeszcze bardzo świeża. Każdy z nas zdawał też sobie sprawę z tego, jak bardzo w ciągu minionego dziesięciolecia wzrosły siły „władzy”. Nie wprowadzajmy jednak do tej opowieści bałaganu, chaosu. Po kolei. W czasie, o którym tu piszę rzeczywiście nie było Internetu, ale postanowiłem do niego sięgnąć teraz, by choć sprawdzić, czy moja pamięć nie zawodzi? Czy rzeczywiście to, o czym piszę, wydarzyło się naprawdę, czy zostało zapisane również poza moją, jakże przecież zawodną, pamięcią? Grupa The Blacky z Liverpool...

Mam jednak dość dobrą pamięć. Tak nazwisko Juda Betsy jak i nazwa grupy The Blacky na trwale w niej utkwily. Potrafię nawet dość dokładnie określić czas opisywanych wydarzeń. Pomagają mi w tym dodatkowe skojarzenia. W tym czasie pracowałem już od prawie roku w KSW ŻAK w Gdańsku. Po drugie wydarzenia te kojarzę ze strajkami w Stoczni Gdańskiej, które wówczas miały miejsce. Te trzy fakty łączą się w mojej pamięci. Strajk stoczniowców, który później przekształcił się w strajk ogólnopolski nie miał jeszcze dzisiejszej nazwy. Po prostu strajk. Jego cele dotyczyły głównie płac, ale wyrażał on też ogólne niezadowolenie z istniejącej rzeczywistości... brak mieszkań, na które nawet mając wpłacony wkład na książeczkę mieszkaniową trzeba było oczekiwać około dziesięciu

lat, ograniczenia wolności poruszania się, gdyż powoli bogacące się społeczeństwo coraz bardziej krępowały zamknięte granice. Możliwość spędzania wczasów w tzw. demoludach, udostępniona w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, przestała już wystarczać. Nie chodziło przy tym o same wczasy, bardzo modne były wówczas wycieczki handlowe. Podróżowano do Niemiec Wschodnich, na Węgry, czy ZSSR, lub Bułgarii wywożąc tam np. produkowany w Polsce krem Nivea, a przywożąc produkowane tam tekstylia, aparaty fotograficzne, z ZSRR wyroby ze złota. System gospodarki rynkowej nie funkcjonował, nie tylko w Polsce, ale we wszystkich krajach komunistycznej dyktatury. Oczywiście ten oddolny handelek nie mógł zastąpić wolności handlu. Niedobory różnych produktów były bardzo znaczne, odczuwalne. Myślę, że takie były wówczas problemy dotyczące nasze społeczeństwo, takie były jego oczekiwania. Nie myślano, przynajmniej wśród szerokich mas społeczeństwa o tak abstrakcyjnych wówczas ideach jak wolność, demokracja. W jakiejś mierze czuliśmy się wolni, odczuwaliśmy rosnący poziom życia, a po ogromnym kryzysie okresu poprzedniego potrzeby naszego społeczeństwa były stosunkowo małe. Dawały się odczuć niedobory, ale wciąż powstawały nowe mieszkania, rozwijała się produkcja samochodów. Mieszkania w blokach, spółdzielcze, których z powodu poprzednich zaniedbań i wojennych zniszczeń wciąż było zbyt mało. Dostawali je szczęściarze. Tak, szczęściarze, gdyż często bywało nawet tak, że przydziały w spółdzielniach nabywano drogą losowania. Po latach oczekiwania. Z każdym rokiem kolejka do takich mieszkań zamiast się skracać stawała się coraz dłuższa. Pięć, później dziesięć lat... Wielu nie doczekało się takich mieszkań nigdy. Z trudem udawało się im odłożyć na konieczny wkład, później zapisać się do jakiejś spółdzielni i czekali... czekali. Warto tu wspomnieć też o tym, że były to właśnie mieszkania spółdzielcze. Ideę własności udało się komunistom w odczuciu znacznej części społeczeństwa przysłonić. Hipoteka, dziedziczenie, testament, mało kto o tym myślał. To państwo miało zapewnić bytowanie, dać. Dać, a później kontrolować. Spółdzielcy, kolektyw... mógł przecież każdego spółdzielcy prawa do jego mieszkania, a właściwie tylko praw takowego mieszkania użytkowania, pozbawić. Własność i wolność są z sobą bardzo związane. Brak materialnych motywacji, brak wolności powodował, że inicjatywy społeczne nie ujawniały się. W krajach tak zwanych „demoludów” ludzie żyli z dnia na

dzień. Ich potrzeby również określały władze. Taka polityka w czasach rodzenia się globalnej gospodarki musiała doprowadzić do kryzysu. Kraje, które wybrały model organizacji społeczeństw z pominięciem prawa własności, wolności rynku, musiały przegrać rywalizację z państwami, w których te idee szanowano.

Kryzys miał dopiero się ujawnić. Pozbawione dostępu do informacji społeczeństwo nie wiedziało, nie mogło wiedzieć, że żyje na kredyt, że zaciągane na budowę fabryk kredyty trzeba będzie spłacić. Mało tego, nie wiedzieliśmy, że większość inwestycji znacznie się, z różnych względów, opóźniła, że niektóre z nich, często bardzo kosztowne, nigdy nie zostaną ukończone. Pod koniec lat siedemdziesiątych oznaki kryzysu były już zapewne widoczne, ale „władzy” wciąż udawało się je ukrywać przed społeczeństwem. Do czasu. Podwyżki cen żywności, inflacja... Musiało dojść do robotniczych strajków, choć tuż obok, życie toczyło „normalnym rytmem”. Do ŻAK-a miała przyjechać Judy Betsy z grupy The Blacky z Liverpoolu.

Jakie z kolei spojrzenie na Polskę mogła mieć wówczas Judy Betsy, jak widziały ją zachodnie elity intelektualne i artystyczne Zachodu? I tam, jak wiemy, modne były idee lewicy, w wielu ośrodkach naukowych dominowali marksiści. Planując wówczas przyjazd do Polski, do Gdańska, zapewne nie wiedziała, nie mogła wiedzieć, że trafi tu w czasie robotniczych protestów. Zapewne nie wiedzieli też o tym urzędnicy ambasady, i wydziałów kultury w Polsce, skoro wyrazili na taki przyjazd zgodę. Dopiero pisząc to opowiadanie zadałem sobie pytanie o właściwy cel jej wizyty. Wówczas odczytywałem jej akcję, jako znak nadziei. Myślę, że podobnie odczytywało ją większość z nas. Środowiska tak modnego dziś LGBT były nieorganizowane. Tęcza..., nie wiedzieliśmy wówczas jeszcze o gejach, choć wiedzieliśmy o homoseksualizmie, mówiło się też o tym, że tworzą oni w wielu środowiskach jakieś lobby. Problemy takie były jednak większości z nas zupełnie obce. Nie było przecież wolnego dostępu do mediów. Skąd mogliśmy o nich wiedzieć? Skąd, z drugiej strony, Judy Betsy mogła wiedzieć o tym, że my nie wiemy. Komedia omyłek.

Organizacją spotkania z Judy Betsy zajmował się Eugeniusz. Ja, zajęty w tym czasie inną imprezą byłem jej tylko obserwatorem. Pomogłem wprowadzić znieść stoły z naszej klubowej kawiarni na dół, do znajdującego

się za filarami otwartego pomieszczenia przed kinem „Leningrad”. Pomogłem też jemu i Judy Betsy rozwiesić wielki baner na rusztowaniach na kamienicy po przeciwnej stronie ulicy. Baner, na którym wymalowana była właśnie tęcza. Całej akcji przyglądałem się ze zdziwieniem. Po cóż tyle zachodu, środków, dla takich „działań”? Sprowadzały się do tego, że zapraszane przez Judy Betsy dzieci miały malować farbkami pastelowymi na kartkach papieru tęczę. Kilka, może kilkanaście stolików. „Artystce” udało się nakłonić do malowania kilkanaście, może około dwudziestkę dzieci. Zaledwie kilkadziesiąt rysunków, zaledwie kilkadziesiąt osób, które obserwowały pracę dzieci. Rysunki tęczy nie wyróżniały się niczym szczególnym. Mogła dziwić czasami dobierana przez dzieci do malowania tęczy kolorystyka. Nie to było w tej akcji najistotniejsze. O cóż w takim razie chodziło? Odczytywałem tęczę wówczas, a chyba nawet do końca XX wieku wyłącznie jako znak nadziei. Myślę, że tak odczytywała ją większość naszego społeczeństwa. Myślę, że nikt nie rozumiał wówczas działań tej „artystki”. Piszę to słowo w cudzysłowie, gdyż cóż w moim odczuciu nie miały one nic wspólnego ze sztuką, tak jak ją wówczas i dziś jeszcze pojmuję. Z tworzeniem, kreowaniem. Dzieci skończyły malować. Nie pamiętam jak zakończyła się ta „akcja”. Trwała jakieś dwie godziny. Później Judy Betsy już nie spotkałem. Zapewne po krótkim pobycie w Gdańsku wyjechała z powrotem do Wielkiej Brytanii, a może miała i podobne akcje w innych miastach Polski. Nie wzbudziła mojego zainteresowania, chyba nikogo, gdyż nie słyszałem o jakichkolwiek komentarzach z jej wizyty. W tym czasie działały się zresztą sprawy ważniejsze. Naprawdę istotne... Trwały strajki, idąc ulicą Słowackiego widziałem zjeżdżające z jakiegoś poligonu do koszar czołgi...

Reagując na ówczesne strajki zorganizowałem w ŻAK-u dyskusję, spotkanie z docentem Tadeuszem Margulem „Duch Gandhiego w strajkach polskich”. To również wydarzenie bez znaczenia. Zaledwie około trzydziestu uczestników spotkania. Czyż mogło ono spełnić zakładane przeze mnie założenie? Propagowanie „biernego oporu”, jako metody walki o wspólną sprawę. Mając w pamięci poprzedni „Grudzień” bałem się, by znów ktoś nie spróbował przy pomocy manipulacji zdławić i sierpniowe strajki... Jakież jednak znaczenie mogła mieć tak skromna inicjatywa jakiegoś studenckiego działacza? Nie miało to znaczenia, ale dla obu stron

ówczesnego sporu... taktyka ta, odmawianie społecznego posłuszeństwa, biernego oporu, od czasu zwycięstwa Hindusów była już i jest wciąż powszechnie znana. Nieco większym zainteresowaniem cieszyła się, również organizowana przeze mnie już we wrześniu wystawa zdjęć ze stoczniowych strajków autorstwa Sławka Bibulskiego. Społeczeństwo nasze szukało dla siebie nowej drogi. Nie mogliśmy wówczas wiedzieć, że poszukiwanie te będą trwać jeszcze tak długo.

Szalona podróż na wesele

Moja przyszła żona pochodziła z Lublina, i z tego właśnie powodu, zgodnie z obyczajem, ślub miał mieć miejsce właśnie w tym mieście. Dwa miesiące wcześniej załatwiłem wszelkie urzędowe formalności, resztą zajmowali się już rodzice mojej przyszłej żony. Po stronie „pana młodego” było poniesienie kosztów alkoholu, ale i ta kwestia została szybko rozwiązana. Mieszkalem wówczas już w Gdańsku, tu mieliśmy przenieść się z przyszłą żoną zaraz po ślubie.

Ślub, ważny moment w życiu każdego z nas. Wielu przygotowuje się do niego bardzo długo. Planuje wesele, ustala listę gości, wiele... wiele innych spraw. W moim wypadku wszystko odbywało się nieco inaczej, wszystko odbywało się jakby samo, w każdym razie poza mną. Ustaliliśmy, że ślub będzie skromny, w mieszkaniu panny młodej. Tylko w otoczeniu najbliższej rodziny i kilku, dosłownie kilku naszych najbliższych kolegów.

Nie zamierzałem zapraszać zbyt wielu osób. Z mojej strony na weselu mieli być tylko moi rodzice, zaprosiłem też kolegów: Cezarego, Heńka i Adama, których poznałem w czasie studiów w Lublinie i Jurka z Gdańska.

Z Cezarym byliśmy na tym samym roku studiów. Tylko jednym, gdyż Cezary odpadł już w czasie trzeciego semestru. Był jednak człowiekiem o nieprzeciętnej inteligencji, szczególnych umiejętnościach. Wówczas nie mogłem tego wiedzieć, ale intuicyjnie czułem jego potencjał. Jak się okazało nie myliłem się. Już pod koniec lat siedemdziesiątych i w pierwszej dekadzie lat osiemdziesiątych Cezary był kierownikiem jednej z bardziej znanych wówczas w Polsce galerii, „Galerii R”. Nie tylko zresztą jej kierownikiem, on ją przecież założył i ustalał jej program. W Galerii tej wystawiali najwięksi, najbardziej wówczas znani, polscy i nie tylko polscy artyści. W Klubie „Riwiera-Remont” Cezary prowadził również rodzaj klubu dyskusyjnego w ramach, którego organizował cały szereg dyskusji. Wokół klubu skupiali się wówczas najwięksi polscy intelektualiści: Artur Sandauer, Andrzej Grotowski, Maria Szyszkowska, Kazimierz Dąbrowski, Adam Schaff i kilku innych, a także politycy. Tak będący u władzy: np.

Ciosek, jak i kontestujący: Adam Michnik i Jacek Kuroń. Wielu zależało na tym, by znaleźć się w tym czasie w kręgu tego klubu.

Heniek był poetą. Poznałem go również w czasie lubelskich studiów, jak się okazało, tak jak i ja pochodził z Gdańska. Jego uczelniana kariera była jeszcze krótsza niż Cezarego, choć przebywał w Lublinie kilka lat. Próbował dostać się do Łodzi na reżyserię. Niestety i z tych jego planów nic nie wyszło. Lubilem jednak nasze dyskusje, ceniłem jego przenikliwy umysł, choć byliśmy po przeciwnych stronach.

– Nie otrzymałeś łaski wiary, stwierdzał najczęściej na zakończenie naszych teologicznych dysput, nie znajdując już dalszych argumentów na mój racjonalizm, a nawet swego rodzaju intelektualny cynizm. Niestety, ten bardzo wartościowy człowiek nie poradził sobie w życiu. Udało mu się nawet wyjechać do USA, ale i tam nie znalazł swego miejsca. Wrócił do Polski i jak dowiedziałem się wiele lat później od jego kolegi, współlokatora lubelskiej studenckiej stacji, Stasia, Heniek zmarł w przytułku dożywszy zaledwie niespełna pięćdziesięciu lat.

Z Adamem moja znajomość była znacznie mniejsza, nasze kontakty były luźniejsze. Ceniłem go jednak. W środowisku KUL-u był uważany za prawie geniusza. Wybitny matematyk. Spotykaliśmy się albo w uczelnianym klubie, albo poza uczelnią, w pobliskim barze, gdzie ja spożywałem „normalne” posiłki, Adam zaś tylko ziemniaki i surówki. Był wegetarianinem. Odradzałem mu to, wspominałem, że nawet Gandhi, studiując w Anglii, zrezygnował z bardzo ścisłej diety, że w naszym klimacie musimy dostarczyć naszym organizmom więcej kalorii, tłuszczu... Odrzucał moje argumenty... Później nasze drogi się rozeszły. Nie wiem, może zrobił matematyczną karierę.

Jurka poznałem nieco później, niecałe dwa lata przed moim ślubem, w moim rodzinnym mieście, w Gdańsku. Był o dwa lata ode mnie młodszy, ale jego niezwykły talent, osobowość zwróciła na niego i moją uwagę. Poznaliśmy się i w jakiejś mierze zbliżyliśmy się do siebie. Często spotykaliśmy się w kawiarniach Głównego Miasta, zwłaszcza w niedawno otwartej „Literackiej”, stałem się też dość stałym gościem jego mieszkania. Jurek prowadził coś w rodzaju „domu otwartego”. Przez jego mieszkanie przewijało się dziesiątki osób.

Tak ja, jak i Jurek wzięliśmy z sobą w podróż tylko niewielkie torby z ubraniem i bielizną na zmianę, zabraliśmy też myśląc o dość długim czasie podróży szachy. Znałem godzinę odjazdu pociągu z Gdańska do Poznania. Wiedziałem, że dotrzemy do Poznania tuż po szesnastej. Uważałem, że zdążymy na wieczorny pociąg do Warszawy wliczając w to nawet czas konieczny na dotarcie do mieszkania Cezarego i powrót wraz z nim na dworzec. Cezary mieszkał na Winogradach, dlatego też plan ten zakładał, że zdążymy z powrotem najpóźniej do godziny osiemnastej. O tej godzinie według rozkładu miał jechać pociąg do Warszawy. Przeglądając rozkład nie dostrzegłem jednak, że był to pociąg kursujący tylko w okresach wakacyjnych i świątecznych. Mało tego będąc już na dworcu w Poznaniu dowiedzieliśmy się, że kolejny pociąg w kierunku Warszawy odjeżdża dopiero po dwudziestej trzeciej i jadąc nim na pewno nie zdążymy na pociąg Warszawa-Lublin, który byłby w Lublinie jeszcze przed południem, czyli przed godziną ślubu. Sytuacja wydawała się beznadziejną. Na zewnątrz powoli robiło się coraz ciemniej.

- Pojedziemy autostopem – zaproponował Cezary.
- Możemy spróbować – odparłem z nutą rezygnacji w głosie.

W czasie moich studiów, a i przed studiami zdarzało mi się podróżować i w ten sposób. Zazwyczaj jednak musiałem długo czekać na okazję, a podróż odbywała się kilkoma kolejnymi okazjami. Dodatkową trudność stanowiło to, że tym razem było nas aż trzech. Do rogatek Poznania dojechaliśmy tramwajem. Stanęliśmy na poboczu. Trzech, ponad dwudziestoletnich młodych ludzi, jak na owe czasy wyglądających dość oryginalnie. Każdy z nas miał długie włosy i brody, a i ubrania oryginalne. Ja oprócz torby trzymałem w ręku szachownicę, Cezary swój obraz, który miał być jego dla mnie prezentem ślubnym. Naprawdę nie liczyłem na powodzenie tej desperackiej akcji, tym bardziej, że było już dość późno. Zbliżała się dwudziesta. O dziwo, już po niespełna dziesięciu, piętnastu minutach zatrzymała się przed nami ciężarówka.

- Dobry wieczór. Ależ szczęście. Czy jedzie pan w kierunku Lublina? – spytałem po otwarciu drzwi.
- Właśnie wracam do Lublina.
- Może pan zabrać naszą trójkę?

– Mogę zabrać, ale jak mówiłem, wracam. Wracam ze Szczecina. Jestem zmęczony, będę musiał po drodze się przespać.

Wsiedliśmy, jakoś umieściliśmy swoje rzeczy. Było ciasno. Cezary usiadł na masce silnika.

– A zdążymy przed południem? – spytałem z nadzieją w głosie.

– Nie ma możliwości. Muszę się przespać – odparł.

– Zapłacę za nas sto złotych. Mniej więcej tyle musielibyśmy zapłacić za pociąg. Proszę, niech pan spróbuje. – Szukałem wszelkich możliwości. Już wydawało się, że sytuacja jest bez wyjścia, a tu taka szansa.

– Jedziemy na mój ślub. Proszę. Musimy zdążyć – dodałem.

– Pojadę, ile będę mógł. Może po drodze coś trafimy. Może trafimy na innego kierowcę jadącego w tym kierunku – zamknął tę kwestię kierowca.

Chwyciłem się tej szansy i przez pierwsze dwie godziny z nadzieją patrzyłem na rejestracje mijających nas samochodów. Tych z lubelską jednak wciąż nie było.

Kierowca rzeczywiście był bardzo zmęczony. Na szczęście był z nami Cezary. Zawsze ceniłem jego intelekt, jego wiedzę, ale jednak tym razem bardzo mnie zaskoczył. Po cóż komuś tyle informacji? Przez prawie dwie godziny dyskutował z kierowcą o silnikach, o wyższości jednych silników nad drugimi, historii silników Diesla, najnowszych rozwiązaniach wprowadzanych w dziedzinie motoryzacji. Mogłem tylko przysłuchiwać się ich rozmowie. W jakim celu ludzie gromadzą w swoich głowach aż tyle niepotrzebnej wiedzy? Myślałem. A jednak okazała się w tej sytuacji potrzebna, wręcz konieczna. Kierowca, który znał swój zawód również z tej strony, czasami dorzucał inne informacje, wiedzę Cezarego oceniał też wysoko. Po wyczerpaniu tematu silników samochodowych Cezary płynnie zmienił temat na kwestie samolotów. I tu posiadał ogromną wiedzę. Nie dość, że znał parametry samolotów, produkowanych w ZSRR, USA czy Wielkiej Brytanii, ale potrafił również powiedzieć ile i jakie samoloty posiada na przykład Izrael. Był niesamowity. Dopiero znacznie później zrozumiałem skąd wzięła się jego aż taka wiedza w tych dziedzinach. Był on jednym z liderów polskiego ruchu hipisowskiego, często podróżował po kraju autostopem. Do podróży tych, jak i do wszelkich innych czynności, które wykonywał w życiu przygotowywał się bardzo starannie. Taki miał

charakter. Dzień przed egzaminem zawsze czyścił i pastował swoje buty. Każdy szczegół był ważny. Potrzeba pozyskania życzliwości kierowców była jednym z istotnych elementów podróży okazjami.

W tym czasie minął nas tylko jeden samochód z lubelską rejestracją. Nasz kierowca zatrzymał go mrugając światłami. Podeszedłem do kierowcy zatrzymanego samochodu. Niestety, nie jechał nawet do Warszawy. Jego baza była znacznie bliżej. Wróciłem do szoferki i jechaliśmy dalej. Jak długo wytrzyma nasz kierowca? Myślałem nieustannie. Moje obawy rosły, tym bardziej, że przed świtem wjechaliśmy w gęstą mgłę. Widoczność sięgała zaledwie kilkadziesiąt metrów. Kierowca wciąż prowadził ciężarówkę. W pewnym momencie mgła jakby opadła, a może to tylko dlatego, że z lewej strony było wzgórze, i dostrzegliśmy na nim cmentarz. Trwało to tylko chwilę. Dalej wciąż była gęsta mgła. Jechaliśmy naprawdę bardzo wolno. Kierowca był zmęczony, ale rozsądny. Za Warszawą mgły już nie było. Około stu kilometrów przed Lublinem kierowca zjechał na pobocze. Wyłączył silnik i stwierdził.

– Dalej nie dam rady. Muszę się zdrzemnąć. Chociaż godzinę.

Rozumiałem go. W myślach szybko rachowałem. Było około ósmej. Pozostało jeszcze niecałe sto kilometrów. Moglibyśmy spróbować złapać inną okazję, ale po pierwsze czy się uda, po drugie ten człowiek tak wiele już dla nas zrobił.

– Czy jeśli ruszymy dalej o wpół do dziesiątej zdążymy na dwunastą? – spytałem.

– Możemy zdążyć – odparł.

By ułatwić mu drzemkę na ponad godzinę opuściliśmy szoferkę. Czekaliśmy na poboczu obserwując mijające nas samochody. Nam było łatwiej, byliśmy młodzi i była to w naszym wypadku dopiero pierwsza nieprzespana noc. Mnie pobudzał dodatkowo niepokój. Wyrzucałem sobie brak odpowiedzialności.

– Co się przejmujesz? Co ma być, to będzie. Los – próbował uspokoić mnie Cezary.

Ponadgodzinny głęboki sen wystarczył. Nawet nie musieliśmy budzić naszego kierowcy. Sam nas zawołał. Ostatni odcinek minął nam bardzo szybko. Byliśmy w Lublinie już kilka minut po jedenastej. Mało tego

kierowca przejeżdżał do swej bazy bardzo blisko mieszkania rodziców mojej przyszłej żony.

Weszliśmy do mieszkania mojej narzeczonej. Wszyscy byli zajęci przygotowaniami do wesela. Nasze przybycie prawie nie zostało zauważone. Cóż z tego, że niespełna dwie godziny przed ślubem?

– Idź załatwić taksówki. Myślę, że trzy wystarczą – zadysponowała moja mama.

O ślubie nie będę tu opowiadać, choć jak na owe czasy był dość dziwny i zapewne mógł szokować urzędników lubelskiego Urzędu Stanu Cywilnego. Pan młody z brodą i bardzo długimi włosami w dość długim czarnym swetrze. Dla celów ślubu zgodziłem się na zamianę swetrów i swój jeszcze dłuższy zostawiłem w Gdańsku. Świadek w używanej skórzanej marynarce, również z brodą i długimi włosami, mało tego, z kipem papierosa między palcami prawej ręki. Tylko panna młoda i jej świadek, Mirka, ubrane były stosownie do okazji.

Wesele właściwie też zwyczajne. Może nieco bardziej wystawny i nieco bardziej zakrapiany obiad w mieszkaniu teściów. Spokojnie i bez zbędnych fajerwerków. Skromny ślub dwojga młodych ludzi, którzy poznali się w czasie studiów i próbowali dalej iść wspólną drogą. Byłem i tak bardzo wdzięczny mojej mamie, że spokojnie przyjęła i tę moją decyzję.

Zaczynałem kolejny etap mojego życia. Dojrzałość, odpowiedzialność. Miałem tę świadomość... nie wiedziałem czy podołam.